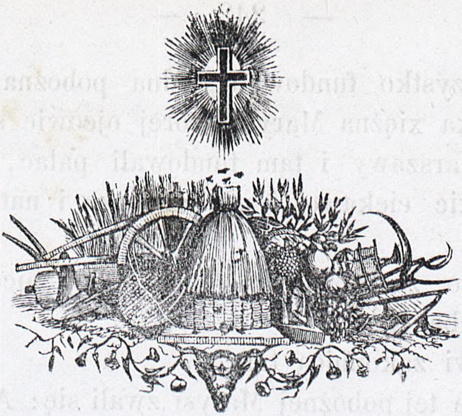
Tom XIV. Nr. 16.

1. czerwca 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Szpital w Moszczanach.

Niedaleko Jarosławia i Radymna stoi nad rzeką Sanem wieś Moszczany. Jest to wieś dawna polska, od bogatych panów polskich fundowana, a jest tam starodawny polski klasztor z zakonnicami, które opiekują się chorymi po szpitalach i nauczają małe sierotki, a zowią się takie zakonnice Siostry Miłosierne. Otóż chodzą tam po różne rady i lekarstwa ludzie z dalekich stron, albo przywożą tam różnych chorych i oddają pod opiekę tych sióstr miłosiernych. Razu pewnego przyjechało tam kilku gazdów polskich, aby zobaczyć ten klasztor polski i cały szpitał. Zakonnica najstarsza przyjęła ich mile i pięknie, kazała im pokazać kościół a potem oprowadzać do każdej izby, gdzie leżą chorzy i gdzie się sierotki uczą. Otóż jak już gazdowie ciekawi opatrzyli wszystko dobrze, jeden gazda Michał Pelczar zapytał:

— A kto to taki fundował ten klasztor i dał na tyle pola, aby tu mogli być chorzy i uczyć się sierotki?

Na to mówi mu zakonnica:

— To wszystko fundowała jedna pobożna i bogata polska pani, niejaka xiężna Marya, której ojcowie siedzieli w Puławach koło Warszawy i tam fundowali pałac, gdzie zebrali różne staropolskie ciekawości na pamiątkę i naukę wszystkim Polakom.

— A jakto zwali się ci dobrzy jej ojcowie? zapytał drugi gazda Kuba Kruk.

Na to mówi zakonnica tak:

— Ojcowie tej pobożnej Marysi zwali się: Adam i Elżbieta Czartoryscy, byli oni na całą Polskę wtedy najbogatszymi i najpierwszymi polskimi panami, ojciec był tak jak pierwszy po samym królu polskim, a miał tyle prawie miast i wsi po całej Polsce, ile dni potrzeba na cały rok.

— Ho! ho! gada trzeci gazda Sobek Wrona, toż można mu było jeno jeździć po swoich wsiach i miastach przez cały rok i na każdy dzień zajechać do innego dworu.

— A dobrze uważcie sobie, mówi zakonnica, takieto były dawno bogactwa w polskim kraju, a dziś nie zobaczysz tego i ze świecą. Otóż tacy ojcowie bogaci mieli i tu dobra wielkie w Wysocku, gdzie stoi dziś klasztor i szpital dla nas i dla was chudaków, a to ma dziś już innego pana, co się zowie Zamojskim. Ta Marysia urodziła i chowała się w Puławach, była ona tak miłosierna i dobra, że zaraz miała łzy w oczach, jak jeno zobaczyła jakiego biednego i zaraz też dawała mu jałmużnę i okrycie a na drogę nakarmiła ciepłą strawą i sama odprowadziła na drogę i pokazała, którędy trza było iść, aby nie pobłądzić. A co jeszcze dziwnego w niej było, że nawet biednym zwierzątkom nie robiła nic złego i bardzo lamenciła na to, jak kto niepotrzebnie katował zwierzątka albo nie dbał o nie, albo męczył niemiłosiernie — a znowu dbała nawet o kwiatki i drzewka które miała w ogródku i nie dała temu nigdy uschnąć ani zmarznąć, a broń Boże jakby kto łamał niepotrzebnie gałązki.

A gazda Sobek Wrona wawołał:

— A dla Boga świętego! cóż to za dusza dobra była w tej panience polskiej, że pod jej opieką i okiem ani człek biedny nie zaginął, ani kwiateczek i szczepki marne nie spo-

niewierały się nigdy. Toż to musiało tam być dobrze i chłopom polskim!

— Oj co dobrze, to dobrze! mówi zakonnica, bo to uważacie, jak inne panienki ze dworu szły na jaką zabawę, to ta Marysia ani pomyślała o zabawie, ale poszła sobie na wieś między chłopów, tam im gadała o Bogu, o gospodarstwie, o różnych królach i panach i biskupach polskich, co to oni robili dobrego w polskim kraju — albo poleciała do chałupy na wieś, gdzie kto zachorował i ratowała sama różnemi lekarstwami — a znowu zbierała dzieci po wsi, zabierała do dworu, tam pouczyła i dała im po kawałeczku bułki albo jaki obrazek i do domu sama odprowadziła albo kazała komu odprowadzić. A znowu fundował jej ojciec taką szkołę dla parobków i dziewek w Puławach, gdzie ta Marysia co święto sama ich uczyła wszystkiego dobrego, z czego byli mądrzy i dobrzy słudzy na wsi.

— Ha! mówi gazda Kuba Kruk, jak się co uda, to się uda na prawdę, tak to daje Pan Bóg i między królami, panami, xiężami a nawet i między chłopami na wsi, nie raz dużo dobrego — ale jak też co ladaco, to już na prach ladaco, a to pono tak być nie powinno, bo Pan Bóg daje życie każdemu na to, aby też co robił dobrego dla siebie i drugiego, a nie na to, aby był ni to, ni owo i tak zmarnował.

Toż pewnikiem zapłacił Pan Bóg i tej panience za jej dobroć.

A zakonnica rzecze:

— Nie każdemu płaci Pan Bóg odrazu na rękę albo na jaką godzinę, ale chowa nieraz zapłatę na tamten świat, toż uważacie mię, bywa i tak nieraz, że pobożni biedują na tym świecie, aż strach bierze patrzyć na to. Tak dał Pan Bóg i tej dobrej Marysi! Oto miała 16 roczków i była milutka jak malowany Aniołek i w całej Polsce i poza granicą gadali o niej bogaci i ubodzy, a że ojciec był strasznie bogaty, toż bogacze upodobali sobie bardzo Marysię i przyjechał do Puław jeden niemiecki xiąże, co się zwał jakoś nie po naszemu, pono Ludwik Wirtemberski, a którego ojciec był u Niemców królem, i jak zaczął zalecać się ten niemczysko tej Marysi, jak

zaczął szwargotać po swojemu, jak zaczął jeździć karetami i stroić się w różne liberye i rozdawać dukaty, to się aż zawróciło w głowie jej ojcom i ci koniecznie wydali ją za tego Ludwika Niemca. A z początku był on dla niej jaki taki, niby ją lubił i przepadał za nią, siedział sobie w Puławach albo w Warszawie, toż Polacy przyjęli go za swego krajowca, pozwolili mu siedzieć w Polsce i mógł sobie kupować wsie i miasta, ba! co jeszcze, zrobili go takim jenerałem nad wojskiem polskiem.

A gazda Michał Pelczar pokiwał głową i mówi:

— Ta co to pomogło! ja sobie tak uważam, że jak ja na ten przykład nie mogę być już nigdy niemcem, ani niczem innem, jeno takim, jakim mię Bóg stworzył a ojcowie wychowali, tak samo i ten bogacz Ludwik nie mógł już być dobrym i prawdziwym naszym rodakiem, bo na taką zmianę trza czasu i wychowku i nauki. Boć jakbym ja zalazł między samych Niemców albo Francuzów, to pono nikt mię nie przegada, że ja już Francuzem albo Niemcem naprawdę — jak we mnie nauka polska i wychowek polski, toć i moja dusza jest taka samiuteńka, a wtedy niech mi tam szwargoce koło ucha, jak kto chce, to mię nie potrafi przerobić i przyciągnąć do siebie.

— A bardzo dobrze gadacie, rzecze zakonnica, bo jakim cię Bóg stworzy, takim umieraj, a jak polecisz za cudakiem i zechcesz sam być takim, no! to zostaniesz na końcu dziwakiem, i każdy cię ośmieje. Toż widzicie i ten Ludwik nie był ani dobrym mężem dla tej Marysi, ani dobrym zięciem dla ojców bogatych, ani dobrym krajanem dla Polaków, a Marysia płakała po całych dniach i nocach, wychudła jak śmierć malowana, trapiła się, modliła się prawie zawsze i myślała sobie, że przecie jej mąż upamięta się i poprawi — ale gdzie tam! bo to uważacie mię, że biedny nie tak prędko leci do grzechu i ucieka od ludzi, jak to robi bogaty — i chudaczek prędzej się upamięta, niż bogacz! Toż i Marysia była bardzo nieszczęśliwą, mąż jej uciekł z Warszawy do Prusaka, przystał do niego i tam został jenerałem dla wojska niemieckiego, Marysia poszła za nim, jako dobra żona, ale to wszystko nie pomogło i mąż jej nie był już dla niej nigdy dobrym.

A gazda Kuba Kruk rozmarkocony gada:

— A trza jej to było tego! nie mogła to ona wydać się za krajana jakiego? bo to i dla niej samej wielka bieda, a jeszcze gorzej dla dzieci boć jakiż to przykład z takiego ojca dla dzieci, jak są w domu z woli Boga?

Na to rzecze zakonnica:

— Prawdę świętą gadacie, jak na kazaniu, bo tak akuratnie było i z synalkiem tej Marysi biednej. Ona sama chuchała na to, jak na młode kurczątko, uczyła, gadała, pilnowała, ale cóż? kiedy ojczaszek psuł syna małego i co matka nauczyła, to ojciec swemi grzechami do razu wszystko popsuł. Toż oczywiście wyrósł chłopak czysty, jak malowany, ale dusza u niego zła, aż strach pomyśleć!

— No! cóż on takiego narobił? — pytali gazdowie.

— Bardzo źle robił! rzecze zakonnica, był on wojakiem, a kiedy wojna polska z Moskalami roku pańskiego 1831, jak Moskale przyszli koło jesieni pod Warszawę, to ten wyrodny syn napadł z wojakami na Puławy, gdzie byli jego dziadkowie i jego matka, i rabował sam ten dwór dziadka i palił.

— A dla Boga świętego! zawołali gazdowie, żeby też rabować i okradać rodnego dziadka i rodną matkę i palić dwór, gdzie się urodził, wychował i to pomagać niewiarom Moskalom, no! i cóż się stało potem?

Zakonnica gada na to:

— Ot! jakie życie twoje, taki sam koniec! ojciec jego niedobry umarł brzydko w cudzym kraju, zkąd przyszedł, a ten synalek jego bezbożny i zdrajca, umarł haniebnie między Moskalami bezbożnikami, dziadkowie oboje zagryźli się, że wydali taką dobrą panienkę za cudzego i nieznajomego człowieka, a ta Marysia biedna przyszła aż tu pod Radymno, gdzie miała dwór swój w Wysocku i tu fundowała ten klasztor miłosierny, dała do klasztoru folwark, a koło tego klasztoru urosła znowu wieś, która się dziś zowie Moszczany. Otóż uważacie teraz, że te wsie naokoło klasztoru należały niedawno jeszcze do bogatego pana polskiego, co się zwał Adam Czartoryski, od niego pochodzi ta dobra Marysia, która wydała się za Niemca Ludwika Wirtemberskiego i nazwaną jest dla tego

xiężną Maryą Wirtemberską, i że ta pobożna pani polska fundowała Moszczany i klasztor ten miłosierny.

— A gdzie też ona pochowana? pytali gazdowie.

Zakonnica rzecze na to:

— Uważacie mię! jak fundowała ten klasztor, to potem sama poszła do jednego klasztoru, ale nie mogła nigdy zapomnieć o tych chłopach, których uczyła za młodu w Puławach, toż napisała ona taką mądrą książkę dla chłopów, co to zowie się: Pielgrzym z Dobromila, a z tej książki, kto umie czytać, może się dowiedzieć o królach polskich i inne piękne ciekawości. A potem pojechała do Paryża, gdzie był jej rodzony brat Adam na wygnaniu i tam razem z bratem i bratową żyła cicho i spokojnie, aż umarła roku pańskiego 1854 w sam dzień św. Urszuli i u Francuza w mieście Paryżu leży pochowana na cmentarzu polskim. A dał jej Bóg długie życie, bo przeżyła 87 lat i napatrzyła się na wiele rzeczy na świecie.

A gazdowie powiedzieli na to:

— No! to tak stoją rzeczy o tym klasztorze w Moszczanach, to już teraz wiemy. Ale pójdziemy jeszcze raz do kościoła, aby zmówić paciorek za duszę tej pobożnej pani i matki chłopów.

I pomodlili się szczerze, a potem sami rozpowiadali każdemu prawdę o tym klasztorze.

Xiądz Wojciech z Medyki.

PACIERZ.

Późno już, późno,
Przyszedł wieczorek,
Klęknijcie dziatki,
Zmówcie paciorek.
I powszedniego
Uproście chleba,
Zdrowia dla ciała,
Dla duszy — Nieba!
Boga-Rodzicę
Pozdrówcie szczerze,

Niechaj was w świętej
Opiece strzeże...
Skład Apostolski
Zmówcie — i wierzcie...
Potem się w piersi
Z skruchą uderzcie,
I niechaj czoło
Kornie się zniża,
Gdy kłaść będziecie
Święty znak krzyża

Na skroni, na ramiona,
I piersi swoje.

A po pacierzu,
Dziateczki moje!
I Anioł Pański,
Przed tym obrazem
Za dusze zmarłe
Odmówcie razem..

Bo ludzie w grzechach
Schodzą z tej ziemi,
Godzi się żywym
Modlić za nimi,
Może i po nas,
Łzą kto grób zrosi,
I duszy naszej,
Spokój uprosi.

Jan Prusinowski.

Złamana przysięga.

— Sława Bogu!

— Sława na wieki! — pozdrowiło się dwóch ludzi mijających na drodze koło lasu.

Jeden z nich prowadził parę wołów zaprzęgniętych do wozu, na którym pług i żywność dla bydła; widać wybrał się w pole do pracy, woły duże i ładne, wóz kuty, znać dostatniego gospodarza są własnością — a drugi zdaje się pobereźnik przyległego lasu, bo i blacha na rzemieniu i strzelba na ramieniu to okazuje.

— A co tam Jacku, kiedy mi oddacie ćwierć jęczmienia, którą wam pożyczyłem? zapytał pobereżnika właściciel wołów.

— Ot! mój Wasylu, jakoś tak schodziło, że nie mogłem wam w tych ciężkich czasach tak prędko jak chciałem oddać, ale teraz mi pan darował stos pręcia świeżo wyrąbanego, więc za tę ćwierć jęczmienia dam go wam, przyjedźcie kiedy do lasu to sobie go zabierzecie, ale uważajcie aby pan leśniczy nie był w lesie, bo by się na mnie gniewał że darowany mnie przez pana stos pręcia wam daję.

— No, no, dobrze, przyjadę, odpowiedział Wasyl, kiedy, jak będę miał czas, po ten stos, zostańcie zdrowi — Jedźcie zdrowi! — odrzekł pobereźnik.

Wtem dała się słyszeć w pobliżu trąbka leśniczego i pobereźnik poskoczył w las a niebawem wyszedł na dróżynę, na której stał leśniczy oparty na strzelbie.

— A co tam Jacku słychać w lesie? czy nie ma żadnej szkody? czy wszystko w porządku? zapytał leśniczy nadchodzącego pobereżnika.

— Wszystko panie dobrze, a odczegoż ja, wszakżem przysięgły pobereżnik i pilnuję pańskiego dobra jak oka w głowie.

— Pamiętaj Jacku zawsze na to żeś przysięgły, bo masz wielką odpowiedzialność przed Bogiem, gdybyś złamał twoją przysięgę.

— Panie! taż ja wiem, żeby mię Pan Bóg skarał gdybym zrobił jakie oszukaństwo, ale przecież mię pan znają, że ja nic złego nie zrobiłem — ledwie domówił te słowa, gdy zbladłszy raptem uchwycił się drzewka stojącego obok.

— Co tobie Jacku? zapytał go leśniczy.

— Tak mi się jakoś niedobrze zrobiło — żeby tylko nie zachorować, bo coś ludzie bardzo słabują.

Po chwili ruszyli leśniczy z pobereżnikiem dróżyną leśną, i ledwie przyszli na kraj lasu, pobereżnik odezwał się:

— Proszę pana, ja bardzo słaby, nie będę mógł obchodzić koło lasu, coś mi się ćmi w oczach, nie wiem jak trafię do chaty.

— No to idź do domu a ja każę Dmytrowi, aby za ciebie pilnował twoją część, nim wyzdrowiejesz.

Na te słowa nadszedł jakby wołany drugi pobereżnik.

— Dobrze żeś przyszedł Dmytro, będziesz Jacka część lasu obchodził, bo on mówi że chory — i pamiętaj żeby mi wszystko w porządku było.

Jacko powlókł się do chaty a leśniczy z Dmytrem pobereżnikiem poszli w głąb lasu.

W kilka dni tą samą dróżyną leśną, na której pobereżnik Jacko zachorował tak raptem — jechał ten sam gospodarz, który za ćwierć jęczmienia Jackowi pożyczonego miał stos pręcia niby jemu podarowanego przez pana z lasu zabrać, a nie wiedział że Jacko mocno chory i doktor przysłany ze dworu bardzo kiwał głową nad jego słabością.

Tą dróżyną wyjechał na zrąb i nie pytając się nikogo zajechał pod pierwszy stos który nadybał.

— A co tam Wasylu bierzecie stos pręcia, pewnie macie kwit na nie? — odezwał się z boku głos Dmytra pobereżnika.

— Nie! nie mam kwitu odpowie Wasyl, bo Jacko dał mi swój stos za ćwierć jęczmienia, który mu pan darował.

— No to pewnie on ma u siebie kwit, ale teraz słaby i ja za niego muszę tu pilnować — bierzcie więc a ja się go zapytam o to.

Jeszcze nie dokończył nabierać Wasyl furę, gdy nadszedł leśniczy, któremu Dmytro całą rzecz opowiedział.

— Jakto! zawołał zdziwiony mocno leśniczy — Jacko wam pozwolił brać pręcie bez kwitu, to jest jakieś oszukaństwo, będziecie za to odpowiadać, bo wiem dobrze, że pan tego roku nic Jackowi nie darował — a zresztą wy wiecie, że do lasu bez kwitu nie można jeździć, rzucajcie pręcie — nie darmo Jacko tak mocno zachorował, zrobił jakieś nadużycie i Pan Bóg go zaraz ukarał.

Wasyl skrobiąc się w głowę, zabrał się jak nie pyszny do zrzucania pręcia z fury i pojechał do domu narzekając na Jacka, że go w taką biedę wprowadził. A leśniczy wydawszy stosowne rozkazy pobereżnikowi, oddalił się na obchód lasu.

Znowu minęło dwa tygodnie od tego czasu. Jacko już podobrzał, i zaczął się powoli przechadzać po chacie, ale czegoś bardzo smutny i zgryziony, widać że nietylko choroba go zmogła, ale coś na sumieniu sto razy gorszego od choroby go trapi.

— Jak się masz Jacku? zapytał się wchodzący leśniczy do chaty schorowanego pobereżnika.

— Ot! trochę lepiej, odpowiedział smutno Jacek.

— Słuchaj no Jacku, powiedz prawdę, co ty porobił z pręciem w lesie, jakiem prawem pozwoliłeś brać Wasylowi bez kwitu?

— O mój Boże! zajęczał Jacko, już mię Bóg dosyć ukarał za mój grzech chorobą, a teraz jeszcze i ludzie będą karać.

— Widzisz jak to się nic złego nie ukryje, a ile to razy ja ci mówiłem, że jako przysięgły pobereżnik masz wielką odpowiedzialność na sobie, widzisz! za złamanie przysięgi już cię Pan Bóg ukarał i jeszcze będzie karał. Pan uważając na

twoje drobne dzieci, nie odda cię jakby powinien do urzędu, gdzie byłbyś bardzo ukarany, ale tylko kazał mi tobie powiedzieć abyś się zaraz wyprowadzał z chaty pańskiej, bo takiego człowieka nie chce mieć sługą u siebie — jak sobie pościeliłeś tak się wyspisz — tem bardziej, że ty mówiłeś, że wiesz co to przysięga znaczy, bywaj zdrów i niech ci Pan Bóg nie pamięta twego grzechu. To powiedziawszy oddalił się leśniczy z chaty zostawując Jacka narzekającego wraz z żoną nad swoją niedolą.

Widzicie moi kochani jak to Pan Bóg karze za złamanie przysięgi — Jacko był pierwej porządnym człowiekiem, miał łaskę u swego pana, a teraz i Pan Bóg skarał go chorobą ciała a jeszcze gorszą drugą chorobą bo zgryzotą sumienia — pan kazał mu się ustąpić z chaty, i on bez chaty z żoną i dziećmi musi iść na poniewierkę ludziom.

Jeżeli uznał swoją wielką winę to może mu przebaczą, a jeżeli nie, to jeszcze wiele biedy wycierpi niepoczciwy sługa.

To co wam opisałem jest prawdziwe wszystko i stało się w naszej wiosce temi czasami — przeczytawszy to weźcie sobie na uwagę dobrze, i zachowajcie w pamięci, że przysięga jest świętą rzeczą, którą w najmniejszej nawet rzeczy łamać — grzechem jest wielkim.

Józef z Gwoździca.

Opowiadanie starego Walentego.

Spisał Grześ z Mogiły.

III. O powietrzu i gazach.

(Dokończenie.)

Dym i te g a z y wszystkie, przy paleniu powstające, jako bardzo lekkie unoszą się w powietrze. A cóż one tam robią? Owoż te powietrze i rozpuszczone w niem gazy są znowu pożywieniem dla świeżo rosnących roślin. Jak człowiek i zwierzęta mają piersi i płuca, tak i wszystkie rośliny mają liście,

a w liściach do oddechania przeznaczone takie maleńkie dziureczki, które i ujrzeć trudno, chyba przez bardzo mocne okulary. Więc jak ztąd widzisz roślinie trzeba tego powietrza jak równie i dla każdego człowieka, gdyż i roślina przecie rośnie, rozwija kwiatek i rodzi owoce, jeno tyle, że się ruszać nie może, bo ma korzeń, a tym to korzeniem bierze pożywienie z ziemi, co jest rozpuszczone we wodzie, i idzie maleńkiemi rurkami jak żyłkami het po całej łodydze.

Wojtuś słuchał tego wszystkiego z natężoną uwagą i oczy mu się jeno świeciły, a teraz przerwał ojcu, mówiąc:

— Więc węgiel kamienny choć się spali w jakiej fabryce to nie zginie, bo dym i gazy jego służą znowu dalej jako pożywienie świeżym roślinom?

— Tak, tak mój chłopcze — odeprze żywo Walenty — gazy powstałe z węgla rozpuszczają się w powietrzu, i karmią dalej zielone pola i wzrastające lasy, które człowiek znowu, jeżeli by mu paliwa zabrakło, na węgiel obrócić może. Podziwiaj tu mądrość wszechmocnego Stwórcy, który tak zmyślnie wszystko urządził, że żaden, choćby najmniejszy włosek tu na tej ziemi nie ginie, znowu w inne twory, dla człowieka pożyteczne przechodząc. Nie zabraknie nam więc nigdy pożywienia, opału w zimie i paliwa do fabryk, choćbyśmy nawet i te ogromne składy węgla kamiennego zupełnie wypotrzebowali, w czem atoli żadnego nie ma strachu. Dość jest tego węgla i na nieprzeżyte czasy wystarczy, aby opalać huty żelazne, pędzić maszyny kolejowe, oświetlać g a z e m i puszczać b a l o n y!

— Mój tatusiu — przerwie Wojtuś żywo — ja nie rozumię, co to jest oświecać g a z e m i puszczać b a l o n y.

— Więc słuchaj — rzecze pan Walenty — wiesz już o tem, że z węgla, także z drzewa i innych roślin powstają lekkie gazy przy paleniu. Otóż doszli ludzie, że te gazy zamiast puszczać wolno w powietrze, można rurami nieprzymierzając jak wódkę w gorzelni przepędzać. A bardzo się to przydać może, bo odkryli ludzie, że jeżeli przytknąć zapalony patyczek do rurki, którędy taki gaz przechodzi, to się on zapala, i powstaje płomień taki biały, jasny i mocny, jak gdybyś grubych

dwanaście świec łojowych odrazu zapalił. Wynalazek ten posłużył ludziom bardzo ku wygodzie. Otóż po wszystkich wielkich miastach, gdzie się to opłaci, stawiają wielkie fabryki gazu, podobnie jak gorzelnie do pędzenia spirytusu, a od tych fabryk kładą het w ziemi po ulicach grube jak armaty rury, a do tych grubych przyśrubowują znowu cieńsze, i te prowadzą do kamienic i do środka izb w murach, a każda z tych rurek jest, jakby czopkiem u beczki, małym kurkiem zakręcona. Jeżeli więc ściemni się na dworze, a ty chcesz mieć światło w izbie, to tylko odkręcisz kurek i przytkniesz zapalony papierek a już ci bucha światło białe i jasne, i jak słońce izby oświeca.

— Mój Boże, jakie to śliczne wynalazki! — zawołał Wojtuś uradowany.

— Zdziwisz się jeszcze więcej, jak ci powiem o balonie — odezwał się znowu pan Walenty. Wspomniałem ci już, że gazy są bardzo lekkie, i o wiele leksze od tego zwykłego powietrza, co ziemię do koła otacza. Uważałeś nieraz, że rzeczy bardzo lekkie jak naprzykład bańka z mydła lub pióro maleńkie nie spadają odrazu na ziemię, lecz idą najprzód w górę. Ale cóż tam! rzeczy takie jak bańka lub piórko, które my lekkiemi nazywamy, wcale nie są lekszemi, lecz owszem cięższemi od powietrza; idą więc tylko wtedy w górę, jak jest choćby słaby wiaterek. Wyobraź sobie jednakże jak to prędko musi i bez wiatru lecieć w górę rzecz taka, co jest z dziesięć razy leksza od zwykłego powietrza! Choćbyś jej wtedy i ciężarów nawieszał, to tak i ciężary ze sobą porwie i w górę poleci, jak nieprzymierzając oliwa we wodzie, którą choćbyś niewiedzieć jak na dół spychał i kłócił, zawsze na końcu do góry pójdzie i stanie na wierzchu wody. Otóż zmiarkowawszy ludzie o ile lżejszym od powietrza jest ten gaz świetlany tudzież inne, jeszcze czyściejsze gazy, i z jaką prędkością w górę się wzbijają; zastanawiali się, czyby nie można za pomocą tych gazów po powietrzu latać. Jakoż utkali z jedwabiu wielki worek, ale taki gęsty i mocny, że żadnej pary ani powietrza nie przepuszczał. Utkawszy taki worek, wzięli go na liny, liny zaś palikami przybili do ziemi, i dalejże napuszczać gazu do środka. Gaz wypełniał coraz bardziej środek onego worka czyli ba-

lonu, wypychając zeń dołem powietrze; a gdy już zmiarkowali, że wewnątrz powietrza nic już nie ma, jeno sam gaz szczery, wtedy zawiązali worek mocno u dołu i spuścili go z lin. Trzebaż było dopiero widzieć, jak szybkim lotem, jak gdyby ptak żywy poleciał balon do góry i zniknął ludziom wnet z oczu!

Podobał się niektórym śmiałkom ten sposób latania w powietrzu, i zaczęli przemyśliwać, czyby się nie można z takim balonem puszczać do góry. Lecz jak? we środku balonu nie można: nie ma powietrza, więc ani rusz oddychać; liny się uczepić? a nuż ręce omdleją, i trzeba potem z góry jak żabie na dół spaść! Lecz od czegoż przemyślność ludzka! wnet sposób wymyślili. Do lin wiszących u dołu przywiązali łódkę głęboką i wygodną, gdzieby bezpieczne siedzieć można, a tam powsadzali to psa to kota, usiedli wreszcie sami, i dalejże wio w powietrze! Nie jeden z najpierwszych śmiałków łeb skręcił, puściwszy się w taką podróż, bo albo balon pękł na wysokościach z wielkiego wytężenia, albo go wiatry na morza zagnały, i razem z żeglarzami zatopiły, albo się wreszcie przez nieostrożność zapaliło wszystko, i śmiałek zginął marnie po krótkiej przyjemności bujania w powietrzu. W ostatnich czasach ulepszono znacznie balony: są klapy do powolnego wypuszczania gazu, jeżeli balon zanadto w górę się wzbija; a biorą też do łodzi worki z piaskiem do obciążenia, który zwolna wysypują, jeżeli podróżnicy jeszcze w górę się wznosić pragną. Pomimo tego jest to jeszcze bardzo niepewna jazda, i jak na stracenie puszcza się człowiek balonem, bo nie tylko, że nie ma sposobu kierowania się w górze, jak cię wiatry pochwycą w obroty, i gdzie nad morza zaniosą, ale przytem powietrze w znacznej wysokości takie już jest rzadkie, że nie sposób oddychać, a słabszym ludziom rzuca sie krew nosem, ustami i uszami. Mało też dziś ludzie puszczają się balonami, a przemyśliwają ciągle nad udoskonaleniem tego wynalazku w ten sposób, żeby i kierunek balonu od woli powietrznego żeglarza zależał.

Gdyby była pewność kierowania się w powietrzu, a więc tem samem i niebezpieczeństwo złamania karku odsunięte: nie

byłoby wznioślejszej i pyszniejszej jazdy nad jazdę balonem. Tak często zazdrości człowiek skrzydeł ptakowi, a owo miałby tutaj skrzydła. Bo wyobraź sobie mój chłopcze człowieka balonem lecącego: pod sobą widzi ziemię małą jak orzech, w koło siebie nie tylko powietrze i huczące wiatry, nad sobą słońce, księżyc i przeczyste gwiazdy, a tam nad gwiazdami przeczuwa dusza wszechmocnego Stworzyciela świata, otoczonego chórami jaśniejących, skrzydlatych Aniołów!

Wojtuś tak się wsłuchał w opowiadanie ojca, że zapomniał o sobie i o wszystkiem co go otacza; uszyma tylko chwytał chciwie słowa, a oczy wlepił w niebo, jak gdyby patrząc na lecący balon. Toż choć pan Walenty skończył opowiadać i cicho się zrobiło, chłopiec siedział tak ciągle zachwycony bez najmniejszego ruchu. Więc pan rymarz odchrząknął, a powstając z ławy odezwie się:

— No powiedziałem ci już wszystko, więc teraz marsz do szkoły, bo już druga godzina!

Zerwał się na te słowa Wojtuś, podziękował ojcu ślicznie za piękne opowiadanie, a po szkole powtarzał innym chłopcom wszystko co tylko słyszał.

RÓŻNOŚCI.

Straszna zbrodnia Z wołynia donoszą o strasznej zbrodni jaka się przydarzyła w Berdyczowie w klasztorze OO. Karmelitów, gdzie został przełożony tego klasztoru zamordowany. Jeden cyrulik, drugi faktor starozakonny, który dostarczał żywności do tego klasztoru są sprawcami tej zbrodni.

Tak było: Przeor odprawiwszy Mszę świętą, wrócił do swej celi, gdzie mu podano herbatę na zwykłe śniadanie, poczem chłopak usługujący wyszedł z celi. Na korytarzu spotkał cyrulika idącego do celi przeora. W pare godzin potem, chłopiec poszedł do celi przeora, lecz przyszedłszy do drzwi, znalazł je zamknięte na klucz, wrócił więc, i znów na korytarzu spotkał faktora, który mu powiedział, że idąc z miasta, spotkał w bramie klasztornej przeora wyjeżdżającego.

Myślano więc, że pojechał. Nadszedł obiad, przeor nie wrócił: myśleli że jakiś nadzwyczajny interes zatrzymał go w mieście, — lecz gdy i na noc nie wrócił, zdziwiło to wszystkich, i postanowili zajrzeć przez

okno do celi. Musieli użyć drabiny, aby po niej dostać się do piętrowego okna, i gdy się tam dostali, jakiż okropny widok uderzył oczy! Oto przeor zamordowany leżał na środku celi, której cała podłoga była krwią zalana. Dali znać do policyi, która wyważywszy drzwi, dostała się do celi. Podejrzenie padło zaraz na cyrulika, jakoż w rewizyi znaleziono u niego nóż zakrwawiony, i krew na sukni. Cyrulik udał, że ma zmysły pomięszane do takiego stopnia, iż z niego indagacyi ciągnąć nie było można.

Powodem morderstwa była kasa klasztorna, w której nic nie znaleźli. Policya moskiewska, nie dozwoliła Karmelitom, uczcić chrześciańskim pogrzebem zamordowanego kapłana. Biskup doniósł o tem carowi. Nie wiadomo czy odebrał na tę skargę odpowiedź, i jaką?

Czcigodny biskup. Wiecie już choćby ze słychu, jak to Moskale prześladują na Litwie wiarę naszą polską, katolicką. Otóż jest tam biskupem xiądz Wołonczewski, prawy Polak, który mimo srogości moskiewskiej spełnia swe pasterskie obowiązki. Nie boi się on moskiewskich gubernatorów, bo jest prawdziwym mężem Bożym. Otóż o tym biskupie podają gazety taki wypadek.

W mury miasta Wilna zawitał przezacny xiądz biskup żmudzki Wołonczewski, który po długich zabiegach i staraniach otrzymał od Kaufmana pozwolenie udzielenia tutejszemu ludowi Sakrament Bierzmowania. Czcigodny ten biskup przez trzy dni od godziny szóstej rano do pierwszej z południa a nawet i po obiedzie aż do wieczora bierzmował niezliczoną dziatwę, młodzież a nawet ludzi dojrzałych, którzy na wieść o przybyciu biskupa do Wilna ze wszech stron się zbiegali. Kościół św. Jana był jak nabity i patrząc na te tłumy zdawało się, że ludność tutejsza już od lat kilkunastu nie przystępywała do sakramentu bierzmowania. Jeszcze w roku przeszłym za znanego okrutnika Murawjewa ten sam xiądz biskup Wołonczewski przyjechał do Wilna w celu bierzmowania i wyświęcenia xięży, ale za to musiał 300 rubli sztrofu zapłacić. Mieszkańcy okazywali największą cześć dla tego zacnego pasterza, który jest istotnie najpiękniejszym wzorem dla naszych kapłanów. Obowiązek u niego zawsze jest świętym, aby go dopełnić, nie zważa na żadne przeszkody lub prześladowania. W Wilnie moskiewski gubernator Kaufmann pozwolił mu tylko trzy godziny dziennie bierzmować, on potroił tę liczbę. W Kownie, jak powiadają, miał dostojny ten biskup następny wypadek. Kowieński gubernator Murawjew pozwolił mu wyświęcić pięciu xięży; xiądz biskup Wołonczewski wyświęcił dwudziestu. Rozgniewany gubernator w towarzystwie policmajstra zjeżdża do jego kwatery:

— Iluś pan xięży wyświęcił? pyta surowo czcigodnego pasterza.

— Dwudziestu, odpowiada tenże odważnie.

— Jak to! alboż pan nie pamiętasz, żem tylko powolił 5 wyświęcić?

— I owszem, pamiętam; ale u mnie obowiązek przedewszystkiem. Jako pasterz tutejszy nie mogłem patrzeć obojętnie, że lud skutkiem braku kapłanów zaniedbuje swe obowiązki, nie chodzi do spowiedzi a często i mszy świętej nie ma gdzie wysłuchać, bo kapłani od kilku lat u nas ubywają, nowych zaś wyświęcać nie wolno.

— A wiesz, podchwycił gubernator, czem to pachnie? pan nam sztrof zapłacisz.

— Co robić, ale wiadomo panu zapewne, że kasa moja zupełnie pusta.

— A to nic nie znaczy; sprzedamy rzeczy pańskie.

— Bardzo dobrze! A czy zostawiasz mi pan prawo rozrządzania moją osobą?

— Nie inaczej — pan jesteś wolnym.

— A mój pastorał pozostanie przy mnie?

— Naturalnie.

— W takim razie pozwól mi pan pożegnać siebie.

I to mówiąc wziął xiądz biskup pastorał i zbliżył się ku drzwiom.

— Dokąd pan idziesz? zapytał zdziwiony gubernator.

— Idę w świat na żebraninę. Może się kto ulituje i da mi choć kęs chleba. Dłużej nie widzę potrzeby zatrzymywać się. Przecież panowie całą mą ruchomość zamyślacie sprzedać.

Zastanowił się gubernator i nie ściągnął sztrofu z biskupa obawiając się następstw, jakieby wywołał widok biskupa żebrzącego.

Sumienie. We wsi Świrczków pod Tarnowem, znaleziono na strychu we własnym domu powieszonego niejakiego Piotra Pokutę. Jak się pokazało potem, że sumienie go tak gryzło, że podpalił dom brata swojej żony, która była uciekła do niego, przed złem jej męża z nią się obchodzeniem. Widzicie, jak to sumienie ciężko zagłuszyć, i jak to jedna zbrodnia, znowu do drugiej większej prowadzi.

Zbrodnia. W Kosowie dnia 18. kwietnia okropną popełniono zbrodnię. Zamordowano sześć ludzi, a to starozakonnego Mortka Margulesa, żonę jego, troje dzieci i służącą. Żaden jęk ani głos wołający o ratunek nie był słyszany. Mordercy pozatykali okna poduszkami i płachtami, i zdaje się pojedynczo śpiących pomordowali.

Na biednych zgłodniałych, w stronach wschodniej Galicyi, ludzie miłosierni, z całego polskiego kraju, przesyłają różne dary, między innemi posłał dla głodem nawiedzonych, pan hrabia Leonard Piniński z Grzymałowa, pięćdziesiąt cetnarów mąki.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.